



STEFAN GRABIŃSKI

W domu Sary


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN GRABIŃSKI
NIESAMOWITA OPOWIEŚĆ

W domu Sary

Już na ostatnim posiedzeniu w klubie zachowanie się i postawa Stosławskiego bardzo mi się nie podobały. Ten zwykle wesoły i otwarty człowiek zmienił się do niepoznania. W dyskusji nie brał prawie udziału lub też wygłaszał zdania bez związku z poruszonym tematem, budząc zdumienie obecnych; u kilku złośliwych zauważyłem nawet ironiczne spojrzenia, zwrócone w stronę mego niefortunnego druha. Usiłowałem bronić go, wiążąc gwałtem rzucone przezeń słowa z tokiem prowadzonej rozmowy — wtedy uśmiechnął się blado, jak-

by dziękując mi za ratunek, i do końca już milczał uparcie.

W ogóle sprawiał już wtedy nader przykre wrażenie. Nie tylko bowiem raziała dziwna małomówność, tak sprzeczna z dawnym usposobieniem, lecz niepokoił też zagadkowy wygląd zewnętrzny. Zwykle wyświeżony, nawet przesadnie elegancki, przyszedł Stosławski tego wieczora w stroju zaniedbanym, niemal opuszczony. Twarz niegdyś zdrową, tryskającą młodym, bujnym życiem, oblekła chorobliwa bladeść, oczy przesłoniła mgła zadumy, której bezwład i beztreściwość tworzyły bolesny kontrast ze szlachetną linią rysów.

Tknięty złym przeczuciem, zaprosiłem go po sesji do siebie i poddałem troskliwym oględzinom lekarskim. Nie opierał się, chociaż już była pora spóźniona, i pozwolił się zbadać cierpliwie. Oprócz znacznego wyczerpania nerwów i ogólnego osłabienia nie znalazłem nic podejrzanego. Zastanawiała tylko przyczyna.

— Ej, Kaziu! — zażartowałem, grożąc mu palcem. — Za dużo się bawisz! Kobietki, co?

Za wiele, mój kochany, za wiele! Musisz uważać więcej na siebie. Tak dalej iść nie może¹. Wyczerpiesz się wkrótce. A potem, co?

Potrąciłem o właściwą strunę.

— Kobiety — zauważył w zamyśleniu — kobiety... Dlaczego mówisz o wielu, nie o jednej?

— O ile cię znam, mój kochany — odparłem uśmiechnięty — żadnej dotąd nie udało się usidlić zepsutego ulubieńca płci pięknej. Czyżbyś się naprawdę tak gwałtownie zmienił? Trudno przypuścić, żebyś był zakochany.

— Użyłeś tylko niewłaściwego wyrażenia. Czy nie przypuszczasz poza miłością i chwilową żądzą innej ewentualności?

— O czym myślisz?

— O opętaniu płciowym. Rozumiesz mnie?

— Nie bardzo.

— Ależ to nader proste. Pewnego pięknego dnia spotykasz wyjątkową kobietę, uosobienie płci, i odtąd, od pierwszego z nią stosunku, nie możesz się z nią rozstać. Nienawi-

¹*tak dalej iść nie może* — dziś raczej: tak dalej być nie może. [przypis edytorski]

dzisz jej, rad byś zrzucić kajdany, lecz wysiłki są nadaremne. Jesteś opętany jej płcią najzupełniej; cały widnokrąg myślowy zamyka się w wyłącznym kole jej ciała, jej kształtów, spojrzeń, dotknięć, obcowanie fizyczne z nią staje się formą bytu. Kobieta przeradza się w bożyszczę złe i nienawistne, lecz niemniej ponętne, któremu musisz ulegać bezwzględnie...

— To tylko wzmożony popęd płciowy samca, który znalazł swój typ.

— Mylisz się; to rodzaj trwałej sugestii hipnotycznej na jawie. Ja po prostu nie mogę myśleć o czym innym, tylko o niej i — co najohydniejsze — o jej płci i szczegółach z nią związanych. Czuję, że to mi jest narzucone wbrew mej woli i nawet popędowi; posiadałem kobiety piękniejsze i bardziej pociągające od niej, a przecież odchodziłem z lekkim sercem, zrywając bez wahania. Tutaj nie mam siły.

— Widocznie tamte nie odpowiadały wszystkim warunkom, jakie spełnić powinien twój ideał kobiety.

— I to mylne. Zdaje mi się, nie — raczej wiem na pewno — że gdybym był nie wda-
wał się z nią w bliższy stosunek, nie uległbym
obecnemu stanowi. Czy uwierzysz, że zaszedł
tu z jej strony rodzaj uwiedzenia?

— Cha, cha! Tego już za wiele! Kazio Sto-
sławski czystym Józefem²! To mi rafinada³ sek-
sualna, co się zowie!

— Nie, Władku! Nie chcesz mnie zrozu-
mieć. Nie chciałem się do niej zbliżyć zana-
dto pod wpływem nieokreślonej jakiejś obawy.
Miałem dziwne przeczucie.

— Lecz w końcu uległeś?

— Niestety. Nie mogłem odmówić. Zresz-
tą kobieta piękna i wtedy wydała mi się w ca-
łym tego słowa znaczeniu *une femme charman-
te*⁴.

— Przystąpiłeś zatem do niej z zapalem nie
większym niż do innych?

²*czystym Józefem* — aluzja do biblijnej opowieści o patriarsze Józefie, który
jako niewolnik w Egipcie oparł się próbom uwiedzenia przez żonę dostojnika
dworskiego Putyfara. [przypis edytorski]

³*rafinada* (daw.) — wyrafinowanie, wyszukana wymyślność. [przypis edytor-
ski]

⁴*une femme charmante* (fr.) — urocza kobieta. [przypis edytorski]

— Oczywiście. Spełniałem tylko namiętne jej życzenie, z pewną dozą sprzeciwu i obawy.

— No i... po pierwszym akcie oczarowała cię? Doznałeś zapewne nieznanych ci dotąd sensacji?

— I to nie. Wszystkie znam na pamięć. Nie jestem nowicjuszem i wyrafinowanie jest dla mnie rzeczą powszednią. Zachowywała się nawet spokojniej niż inne.

— Czymże więc opętała cię ta kobieta?

— Nie wiem, nie domyślam się nawet. Lecz zaraz po fatalnym zbliżeniu zrozumiałem, że opanowała mnie bezwzględnie, że stałem się igraszką w rękach demonicznej samicy. Wiedziała, że po pierwszym stosunku zostanę już jej ofiarą, której jej nikt nie wydrze. Wytworzył się między nami szczególny związek, nieuchwytnie a mocne pęta, oplątujące mnie coraz ciaśniej, coraz zwarciej.

— Nadużywa cię fizycznie? Jesteś bardzo wyczerpany...

— I na to się uskarżać zbyttnio nie mogę. Osłabia mnie, czuję to doskonale, wysysa po-

woli, systematycznie, nieubłaganie — lecz nie przez częste stosunki...

— Nie rozumiem...

— I ja też nie mogę pojąć, w jaki sposób. Lecz że ona właśnie jest powodem dziwnego stanu, w jakim mnie widzisz, nie ulega wątpliwości. Ta kobieta kradnie mi z zapamiętałością upiora wszystkie siły życiowe — czy pojmujesz, Władku? — Wchłania w siebie ze zjadliwym uporem moje życie, moje młode życie...

— Przestań bywać. Czy nie możesz zdobyć się na męską wolę?

— Nie mogę, nie mogę. Jestem bezsilny. Czy wiesz? Przeprowadziłem się do niej; mieszkamy wspólnie od dwóch lat w jej willi za miastem na Polance.

— Ach, teraz już rozumiem, dlaczego nie spotykano cię od pewnego czasu na ulicy, w kawiarniach, w teatrze. Czy ona zabrania ci wychodzić?

— Bynajmniej — sam nie mam do tego ochoty. Zrazu nie unikałem towarzystwa ludzi, z czasem zacząłem się ograniczać do sfery wy-

łącznego obcowania z nią. Nie odczuwam już teraz potrzeby wymiany myśli z ludźmi, z którymi nie mam nic wspólnego. Dziś przypadkiem tylko znalazłem się w klubie. Nic mnie teraz nie zajmuje, wszystko zobojętniało mi doszczętnie... Mój stosunek do świata staje się coraz luźniejszy! Idę w jakimś kierunku odśrodkowym, zawisłem jakby między niebem a ziemią. Dziś jeszcze zdaję sobie z tego sprawę, lecz kto wie, jak będzie potem...

Patrzyłem nań badawczo, z głębokim współczuciem.

— Źle z tobą, Kaziu — przerwałem po chwili zaległe milczenie — trzeba się leczyć. Masz rozstrojone nerwy. Może zupełnie niesłusznie posądzasz ją o ujemny wpływ; może zarody choroby tkwiły w tobie przed tą znajomością?

Potrząsnął przecząco głową:

— Nie, mam pełne przekonanie pod tym względem. Zauważyłem w sobie symptomy w rok po wspólnym pożyciu. Zresztą to nie jest rozstrój nerwowy. W tym tkwi coś zupełnie inne-

go, coś, o czym się nie śniło psychiatrom naszym.

— Być może. Lecz kto jest tym demonem, tym wampirem w kobiecej postaci? Czy możesz mi wymienić jej nazwisko?

— Nazywa się Sara Braga...

— Sara Braga... dziwne nazwisko! Czy to Żydówka? Imię przypomina Stary Testament.

— Nie. Podobno jest protestantką. Rodzina wymarła. Na podstawie jej skąpych informacji doszedłem do wniosku, że płynie w jej żyłach krew dawnych kortezów⁵ Kastylii, zmieszana później z pierwiastkiem germańskim; przedstawia typ szczególnego skrzyżowania szczepów. W ogóle trudno mi było dowiedzieć się czegoś więcej, bo o sobie i swej przeszłości mówić nie lubi. Przed laty miała owdowieć. Kto był jej mężem, nie wiem; nosi nazwisko swojej rodziny.

— Czy wiek jej ci znany?

⁵*kortez* (z hiszp. *cortes*: dwory) — tu zapewne: członek Kortezów, stanowego zgromadzenia przedstawicielskiego w dawnych państwach Półwyspu Iberyjskiego, grupującego przedstawicieli rycerstwa i duchowieństwa oraz delegatów miast. [przypis edytorski]

— Utrzymuje, że ma lat trzydzieści, chociaż na pierwszy rzut oka wygląda na młodszą. Orientacja w tym wypadku trudna i łatwo się pomylić. Nie używa żadnych sztucznych środków do podniesienia zewnętrznego wyglądu, owszem, ma żywiołowy wstręt do wszelkich kosmetyków i barwiczki⁶. Żyjąc z nią tak blisko, wiem o tym wybornie... Czy uwierzysz, że krążą o niej i jej wieku dziwne pogłoski? Z kilku przypadkiem podchwyconych aluzji i półsłówek służby wywnioskowałem, że Sara jest znacznie starsza, niż się wydaje. Jest to pod każdym względem zagadkowa kobieta. Tajemnica rozsiadła się w jej domu, tajemnica ciemna i zła, jak jego mieszkanka.

Przesunął znużonym gestem ręką po czole:

— Zmęczyłeś mnie, Władku, zmuszając do skupienia uwagi. Mam szalony ból głowy. Zegnaj.

— Wybacz, lecz zrobiłem to z przyjaźni. Zatrwożył mnie twój wygląd. Ból usunę z łatwością; zatrzymaj się tylko jeszcze przez chwil-

⁶*barwiczka* — kosmetyk do malowania twarzy. [przypis edytorski]

kę: uspię cię na pięć minut i usunę sugestią cierpienie. Czy zgadzasz się?

— No dobrze. Tylko nie zatrzymuj mnie już długo.

Przystąpiłem bezzwłocznie do operacji. Mając wprawę w hipnotyzowaniu, za dwie minuty wprowadziłem go w stan głębokiego uśpienia... Nagle przy poddawaniu sugestii przeciw bólowi głowy wpadłem na pewną myśl. Wiedząc, że trudno mi będzie w stanie normalnym namówić go do powtórnej wizyty u mnie lub w klubie, kazałem mu we śnie odwiedzić mnie za miesiąc o tej samej porze. Prędzej widzieć się z nim nie mogłem, gdyż w tym czasie byłem zajęty intensywną pracą i wyjeżdżałem często. Wydawszy oba rozkazy, wykonałem szybko kilka *passés contraires*⁷ i Stosławski obudził się.

— No, jakże się czujesz? — zapytałem.

— Ból ustał zupełnie. Dziękuję ci. A teraz odchodzę. Żegnaj!

⁷*passés contraires* (fr.) — pociągnięcia przeciwne, ruchy rąk wykonywane nad ciałem osoby zahipnotyzowanej mające na celu jej obudzenie. [przypis edytorski]

— Raczej: do widzenia! Kiedyż do mnie zagłędziesz?

— Nie wiem; może już nigdy. Nie mogę nic obiecywać.

Uściskał mi mocno rękę i odszedł.

Gdy umilkły już kroki gościa na korytarzu, wróciłem do salonu, w którym unosiły się jeszcze kłęby dymu ze spalonych przez nas papierosów, usiadłem przy kominku i machinalnie gładząc lśniąca sierść mego wiernego Astora, zapadłem w zamyślenie.

— Sara Braga! Sara Braga!... Z nazwiskiem tym już raz się w życiu spotkałem, chociaż osoby nie znam. Sara Braga... tak!... Teraz przypominam sobie jak przez mgłę; wyczytałem je w spisie pacjentów mego byłego mistrza, profesora neurologii, Fr. Zmudy, temu lat kilkanaście. Byłem wtedy jeszcze młodym adeptem medycyny. Kopię spisu na szczęście zachowałem: rejestr był mi potrzebny, bo zawierał obok nazwisk diagnozę i środki terapeutyczne chorób.

— Trzeba to odszukać i przeglądnąć⁸. Może się dowiem bliższych szczegółów.

Otworzyłem szafkę biblioteczną i zacząłem przerzucać gruby foliał. Szedłem latami wstecz, nie bardzo dowierzając pamięci. Nagle pod datą z miesiąca lipca i następnych roku 1875 od-
czytałem:

„Sara Braga, zamieszkała w willi »Tofana«⁹ na Polance, ur. w r. 1830, lat 45 — organizm wyjątkowo odporny na przemiany wieku — skłonności psychopatyczne na tle seksualnym — objawy psychicznego sadyzmu”.

Następowały skrótty dotyczące terapii i wskazywanych zabiegów.

— A zatem dziś miałyby lat mniej więcej osiemdziesiąt! Fenomenalne! Nie do uwierzenia!... Stosławski utrzymuje, że młoda i piękna! Chyba to kto inny? Lecz adres mieszkania

⁸przeglądnąć (reg.) — dziś raczej: przejrzeć. [przypis edytorski]

⁹willa „Tofana” — nawiązanie do postaci Giulii Tofany, straconej w Rzymie w 1659 roku za wieloletnie dostarczanie sporządzanej na bazie arszeniku trucizny, tzw. *Aqua Tofana*, kobietom, które chciały się pozbyć okrutnych mężów. [przypis edytorski]

zgadza się przedziwnie. Willa „Tofana” na Polance, to jest w podmiejskiej dzielnicy, rodzaju stołecznego letniska — to brzmi dziwnie! Lecz w jakim związku pozostaje to wszystko z chorobą Kazia? To, co mówił, zbyt było niejasne i podmiotowe, by móc wyciągać jakiegokolwiek wnioski. Pozostawmy sprawę czasowi.

Jakoż¹⁰ obowiązki zawodowe zmusiły mnie nazajutrz do natychmiastowego wyjazdu. Natłok zajęć i wyteżona praca tak mnie pochłonięły, że niemal zapomniałem o historii Stosławskiego. Dopiero po całomiesięcznej nieobecności, wróciwszy do miasta, przypomniałem sobie, że nazajutrz przypada termin pohipnotycznego spełnienia mego rozkazu. I rzeczywiście koło godziny czwartej po południu wszedł do mego salonu automatycznym krokiem Stosławski.

¹⁰jakoż (przestarz.) — spójnik akcentujący, że coś, o czym mowa wcześniej, jest prawdziwe, zaszło lub spełniło się: i rzeczywiście, i w samej rzeczy. [przypis edytorski]

Kazałem mu usiąść, uspiłem ponownie i pochwaliwszy za sumienne wywiązanie się z zadania, obudziłem go.

Oprzytomniawszy, ze zdziwieniem rozglądał się po pokoju, nie mogąc pojąć, skąd się wziął u mnie. Gdy mu wyjaśniłem sytuację, trochę uspokoił się, lecz z twarzy biła niechęć i niezadowolenie.

Przez ten jeden miesiąc przemiany, zauważone przeze mnie ostatnim razem, poczyniły zatrważające postępy: widocznie posuwał się z fatalną szybkością w tajemniczym kierunku.

Zagałęm naprędce rozmowę umyślnie o rzeczach błahych, dalekich od jego wyjątkowego stanu, ani słowem nie zaczepiając o stosunek z Sarą. Odpowiadał apatycznie, z wysiłkiem, często rwąc wątek rozmowy wtrętami bez sensu, bez zewnętrznych spoiw.

Niebawem spostrzegłem, że nie orientuje się w rzeczywistości i zatracił niemal zupełnie poczucie czasu i przestrzeni. Perspektywa, brylowatość chwil i rzeczy przestała istnieć: wszystko leżało na jednej idealnej płaszczyźnie. Zda-

rzenia ubiegłe przybrały dramatyczną formę chwili bieżącej, zagadkowe jutro wtargnęło jasnym, oczywistym szlakiem w bezpośrednią obecność jako coś zupełnie równorzędnego. Zaginęła bezpowrotnie plastyka rzeczy, ustępując miejsca jakiejś paradoksalnej jednoplanowości.

Blade jak płótno, bez kropli krwi oblicze wyzierało na świat jak maska obojętna na jego sprawy, których złożoność jakby znikła pod naporem tajemnych uproszczeń. Podniesiona w górę alabastrowej białości, prawie przejrzysta ręka czyniła gest wiecznego trwania, niby symbol treści niezmiennej od prawieków bytu...

Stał się bezwładny, poruszał się powoli, leniwo, jak we śnie. Obojętnie pozwalał mi się badać. Wystawiłem go pod działanie promieni Röntgena: światło przeszło szybko, natrafiając na anormalnie zmniejszony opór. Wyniki przekraczały rozmiarami dotychczas znane doświadczenia: organizm uległ przerażającej redukcji; w układzie kostnym widoczne by-

ły objawy atrofii¹¹, poznikały całe rzesze tkanek, zmarniały całe gniazda komórek. Był lekki jak dziecko; żelazne palce wagi wskazywały na podziałce śmiesznie małą liczbę. Ten człowiek niknął w oczach!

Chciałem go zatrzymać u siebie i o ile by to w ogóle było jeszcze możliwe, przeszkodzić zupełnemu zniszczeniu. Zdawało się, że jego bierność ułatwi mi zadanie i że nie stawi mi oporu. Lecz pomyliłem się. Po dwugodzinnej rozmowie nagle jak automat powstał, zabierając się do wyjścia. Pędziło go do domu, do willi „Tofana”. Zdaje się, że po zniknięciu wszelkich interesów życiowych pozostał tylko ten żywiołowy, niczym niewstrzymany pęd ku niej, ku Sarze, ku której ciążył całą swą marniejącą osobowością. Trudno się było sprzeciwić. Czułem, że jeśli go nie wypuszczę, stanie się coś złego: w oczach jego zapalały się już i gasły ognie niebezpiecznej, nerwowej siły.

Postanowiłem więc odwieźć go dorożką na miejsce.

¹¹*atrofia* — zmniejszenie się; zanik. [przypis edytorski]

Polanka leżała w dość znacznej odległości od środka miasta i dopiero po półgodzinnej jeździe stanęliśmy u celu.

Pomogłem mu wysiąść i odprowadziłem na marmurowe schody, wiodące do willi. U drzwi wchodowych¹² oszklonej werandy przez chwilę zatrzymałem się niepewny, czy wejść z nim do środka, czy zawrócić. Ogarnęła mnie nagle nieprzemierzalna chęć poznania tej kobiety. Lecz nie śmiałem iść dalej. Stosławskim oczywiście nie krępowałem się zupełnie — zdawał się nie uważać zresztą na moją obecność — lecz zachowanie się lokaja, który wybiegł na spotkanie, działało hamująco. Starannie wygolony, we wzorowym fraku fagas¹³ powitał wprawdzie mego towarzysza głębokim ukłonem, lecz na twarzy jego igrał uśmiech lekceważącej ironii; na mnie patrzył jak na intruza, którego należy bezzwłocznie wyprosić.

Już chciałem wracać do oczekującego mnie fiakra¹⁴, gdy wtem aksamitna kotara, oddzie-

¹²wchodowy (daw.) — wejściowy. [przypis edytorski]

¹³fagas (daw., pogard.) — służący, lokaj, sługus. [przypis edytorski]

¹⁴fiakier (daw.) — dorożkarz. [przypis edytorski]

lająca werandę od wnętrza domu, rozsunęła się i na jej oranżowym tle wynurzyła się z głębi postać kobiety.

Nazwać ją piękną, znaczyło uchwycić jej powierzchowność z zasadniczo fałszywego punktu patrzenia. Była raczej demonicznie, szatańsko ponętna. Te rysy nieregularne, mięsiste szerokie wargi i nos silnie rozwinięty nie dawały wrażenia piękna — a jednak twarz o oślepiająco białej, matowej cerze, tym mocniej kontrastująca z płomiennym spojrzeniem czarnych, zionących żarem oczu, przykuwała z nieopisaną siłą. Miała w sobie coś z prostoty żywiołu, który pewny swej władzy gardzi akcesoriami.

Nad przeczystym, cudnie sklepionym czołem rozchylały się łagodnymi falami metalicznie lśniące, krucze włosy, spięte u szczytu królewskiej głowy srebrnym naczółkiem. Ciemnozielona, lekko wycięta suknia z adamaszku spływała gładko wzdłuż wyniosłej postaci, wydlatniając wyborną linię torsu i gibkich, dziewiczo zwartych bioder.

Wzartem się wzrokiem w jej czarujące, piekielne oczy, skupiając w spojrzeniu całą siłę woli. Odpowiedziała, parując atak. Tak zmagaliśmy się przez chwilę. Wtem spostrzegłem na jej twarzy jakby wahanie, niepewność, obawę; drgnęła niespokojnie. Wtedy, składając głęboki ukłon, rzekłem, ująwszy rękę Stosławskiego:

— Odprowadzam zbiega, polecając go trokliwej opiece łaskawej pani.

I wymieniłem swoje nazwisko.

Sara oddała ukłon skinieniem głowy i odsuwając kotarę, poprosiła do wnętrza; przy tym zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na Stosławskiego, który jak zahipnotyzowany nie spuszczał z niej wzroku. Przykro było nań patrzeć. Jakaś bezwzględna, psia pokora wyglądała mu z oczu, utkwionych w nią bez przerwy, jakieś wiernopoddańcze posłuszeństwo. Na dźwięk jej głosu rzucił się cały ku niej, jakby szukając oparcia, opieki; kobieta uśmiechnęła się pół pogardliwie, pół łaskawie i wstrzymując go niedbałym ruchem ręki, wydała polecenie służce, obojętnemu świadkowi tej sceny:

— Odprowadzisz pana do sypialni; jest zmęczony, musi odpocząć.

Sługa w milczeniu ujął go pod ramię i niemal wlokąc za sobą, znikł w bocznych drzwiach.

Wszedłem za Sarą do salonu.

Był stylowy. Wysoko sklepiony, o dumnie rozpiętych połowach, cały obity był miękką, jedwabną materią koloru *terra cotta*¹⁵. Okien nie było; salon rozświetlał masywny pająk zwiśający ze środka stropu.

W przedniej części, niemal pustej, stały pod ścianami dwa rzędy krzeseł z perłową inkrustacją na grzbietach i poręczach. Z nisz pomiędzy nimi wychylały się egzotyczne krzewy w dużych srebrnych urnach.

Na dalszym planie, w głębi, wznosiło się kilku stopniami podium zasłane sukniem o soczystej barwie cynobru¹⁶. Stół na środku estrady z wazą kwiatów okrywała ciężka, przety-

¹⁵*terra cotta* (wł. dosł.: wypalona ziemia) — kolor ceglasty. [przypis edytorski]

¹⁶*cynober* — minerał z gromady siarczków o czerwonym zabarwieniu. [przypis edytorski]

kana wisiorami berylu¹⁷ kapa. Parę taboretów, wschodnia otomana i smukłe, palisandrowe¹⁸ pianino wypełniały resztę przestrzeni.

Tylną ścianę tworzyła zasłona podobna do kotary u wejścia, zamykając falistym murem ślepe wnętrze.

Stąpałem cicho, wnurzając się w puszyste futra kobierców rozestanych na posadzce. Pani wprowadziła mnie na podium i wskazawszy jedno z krzeseł, sama opuściła się niedbale na otomanę¹⁹.

Usiadłem w milczeniu. Po chwili Sara wyciągnęła rękę w kierunku małego stolika po puzdro z papierosami. Spostrzegłszy, że sprzęt stoi trochę za daleko, przystawiłem go do sofy, po czym podałem płonącą zapalną.

— Dziękuję.

¹⁷*beryl* (gr. *berillos*: morska zieleń) — przezroczysty minerał o szklistym połysku, krzemian berylu i glinu. Jego zabarwione odmiany są kamieniami szlachetnymi, np. zielony to szmaragd, niebieski to akwamaryn. [przypis edytorski]

¹⁸*palisandrowy* — wykonany z palisandru: drewna tropikalnego drzewa z rodzaju *Dalbergia*, o barwie brązowej lub ciemnofioletowej, używanego głównie do wyrobu instrumentów muzycznych i mebli artystycznych. [przypis edytorski]

¹⁹*otomana* — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

Zaciągnęła się dymem.

— Pan nie pali?

— Owszem.

Wyjąłem z sąsiedniej przegródki cygaro i wypuszczając w górę fioletowy kłęb, zauważyłem z uznaniem:

— Bajeczne!

— Nudny pan jesteś. Czy w podobny sposób zabawiasz zawsze kobiety?

— To zależy od ich pokroju. Z panią na przykład trudno mi rozmawiać; łatwo można wpaść we fałszywy ton. Muszę się oswoić.

Sara popatrzyła mi w oczy, usiłując nadać spojrzeniu wyraz jedwabistej miękkości. W tym momencie spostrzegłem w jej rysach uderzające podobieństwo do Stosławskiego. Kobieta zauważyła zdumienie:

— Cóż to panu? Wyglądasz na odkrywcę w chwili genialnego wynalazku.

— Istotnie, odkryłem rzecz szczególną.

Podniosła się drwiąco:

— Proszę, cóż takiego?... Czy wolno wiedzieć?

— Pani jest dziwnie podobna do Kazia.

Twarz Sary zadrgała:

— Przywidzenie.

— Nie, proszę pani. Jestem dość dobrym fizjonomistą²⁰. Zresztą można to wytłumaczyć: żyjecie państwo ze sobą od dłuższego czasu... Współzycie tak bliskie upodabnia.

— Hm... czy to pańska teoria?

— Nie, łaskawa pani — teorię tę, zresztą nie nową, dokładniej roztrząsał przed paru laty doktor Fr. Żmuda.

Przypisując rzekomą teorię Żmudzie, kłamałem, chcąc tylko wprowadzić to nazwisko do rozmowy.

— Fr. Żmuda? — zapytała ciekawie. — Pan może jego uczniem?

— Bynajmniej — wyparłem się energicznie. — Nie znam go nawet. Czytałem tylko jego rozprawkę w miesięczniku medycznym.

— Ach, tak...

— Czy to pani znajomy?

²⁰*fizjonomista* — osoba odczytująca charakter osoby z jej twarzy. [przypis edytorski]

— Tak. Przed rokiem, cierpiąc na lekki rozstrój nerwowy, byłam czas jakiś jego pacjentką. Bardzo miły człowiek.

„Więc to ta sama — pomyślałem — tylko że kurację odbyła znacznie dawniej, bo jeszcze przed trzydziestu dziewięciu laty, to jest w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym. A zatem ta kwitnąca urokiem młodości kobieta miałaby dziś lat osiemdziesiąt! Paradoksalne! Niebywałe! A jednak tak być musi; notatki Żmudy i moja pamięć usuwają wątpliwości”.

Patrzyłem na Sarę z nieokreślonym lękiem.

— Czemuż pan tak nagle spoważniał? Myślałby kto, że się czegoś obawiasz?

— Tym razem przywidziało się pani, i to naprawdę. Czegóż bym się miał obawiać? Przejęty tylko jestem wyjątkową jej pięknnością. Podobne kobiety spotyka się rzadko.

Uśmiechnęła się zadowolona.

— Szkaradny pochlebca!

Uderzyła mnie lekko ręką po ramieniu. Choć umiem nad sobą panować, mimowolnie zadrżałem pod tym dotknięciem, odchylając przy

tym nieco głowę do góry. Wtedy wzrok mój padł na szereg portretów zawieszonych na lewej ścianie pokoju. Odłożyłem cygaro i podszedłem do obrazów.

Było ich dziesięć w dwóch szeregach równoległych; rząd górny obejmował pięć wizerunków Sary — pod nim umieszczono podobizny pięciu nieznanych mi mężczyzn. Od razu rzucały się w oczy dwa znamienne szczegóły. Na wszystkich portretach wyglądała Sara w jednym wieku, jak gdyby obrazy malowano w bliskich od siebie odstępach czasu. Mimo to na każdym wyraz twarzy był inny, i to — zadziwiająco podobny do rysów jednego z mężczyzn w szeregu dolnym; słowem, każda z pięciu podobizn Sary miała pod względem podobieństwa swój odpowiednik w wizerunkach mężczyzn.

Zajęty studiowaniem obrazów nie spostrzegłem jej niezadowolenia. Dopiero głos Sary, cierpki i zniecierpliwiony, przerwał mi obserwację:

— Skończcie pan już raz tę rewię! Nic tam ciekawego — bohomazy.

— Przeciwnie — doskonale. Co za wyrazistość rysów! Łaskawa pani posiada twarz iście sfinksową: niby ciągle się zmienia, a zawsze ta sama. Lecz i głowy męskie przepyszne — same rasowe typy! Czy to kuzyni? Chyba nie? Zupełnie do siebie niepodobni — każda twarz inna.

— Znajomi — odpowiedziała oschle. — Proszę wrócić; tu — bliżej do mnie — dodała cieplej i wskazała mi miejsce obok siebie na sofie.

Usiadłem zajęty wciąż tajemnicą męskich twarzy, z których każda przypominała żywo Sarę, chociaż między sobą nie miały punktów stycznych.

Widząc me zamyślenie, starała się usilnie rozproszyć zadumę konwersacją. Wkrótce wpadliśmy na ulubiony u kobiet temat i zaczęliśmy rozmawiać o miłości. Sara od razu wzięła ton namiętny, z predylekcją²¹ poruszając wy-

²¹*predylekcja* — skłonność do kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

padki krańcowe graniczące ze zwyrodnieniem. Zdradzała niebywałą znajomość wszelkich subtelności płciowych, w których perwersja szła o lepsze z lubieżą. A wszystko umiała podać w formie wytwornej, przedziwnie stylizowanej i ponętnej; chciała widocznie oczarować mnie nie tylko fizyczną urodą, lecz i bogactwem ewentualności erotycznych, jakie w niej tkwiły.

Zrozumiawszy wyraźny zamiar, miałem się na baczności. Jakiś niepojęty strach odpychał mnie od tej kobiety i nakazywał ostrożność. Mimo to, by jej nie zrazić chłodem, udawałem podrażnienie, odpowiadając palącym wzrokiem na spojrzenia jej piekielnych oczu.

Koło dziesiątej wieczorem pożegnałem się, przyrzekając rychłą wizytę.

Nie nastąpiła jednak tak prędko, jak myślałem.

Zawezwany telegraficznie do F., odległego o dwa dni drogi, pojechałem nazajutrz na czas dłuższy, by dopiero w trzy tygodnie potem jawić się ponownie w willi „Tofana”. Na spotkaniu wybiegła Sara wśród oznak żywej radości.

Gdy spytałem o Stosławskiego, zachmurzyła się i wzruszając lekceważąco ramionami, odparła:

— Nieciekawo.

Pokrywając oburzenie, jakim przejął mnie bezmierny jej egoizm, wyraziłem życzenie zobaczenia się z nim. Przystąpiła niechętnie dopiero na usilne nalegania:

— Nie mogę panu odmówić; lecz musi pan wejść do sypialni, bo stamtąd już się nie rusza.

I wprowadziła mnie przez salon do zacisznej, z wyrafinowaną miękkością urządzonej komnaty.

Widok Stosławskiego zrobił na mnie przerażające wrażenie. Stał przy oknie wpatrzony bezmyślnie w szybę, prawą ręką przebierając we frędzlach portiery. Nie poznał mnie, może nawet nie spostrzegł.

Na twarzy błąkał się nijaki uśmiech, zwiotczałe, białe jak papier usta poruszały się słabo, składając jakieś wyrazy: coś szeptał. Zbliżyłem się, nasłuchując. Szept był cichy, ledwo dosłyszalny. Lecz ucho mam bystre i pochwyciłem słowa. Było ich parę tylko i powtarzały się bez

przerwy jak w automacie: same bezwstydną, cynicznie pieścizotliwe słowa...

Było w tym coś tak ohydneho i potworneho zarazem, że zadrzawszy, cofnąłem się do pierwszej sali.

Tutaj już nie było ratunku. Człowiek ten był stracony. Zdenerwowany okropnym obrazem, mimo próśb Sary, wróciłem zaraz do siebie.

Przyszło silne postanowienie. W możliwość ocalenia Stosławskiego zwątpiłem zupełnie; stan, w jaki popadł, przybrał formy zbyt wybujałe, by marzyć o drodze powrotnej. Pozostawała tylko zemsta — spokojna, rozważna, planowa — bo w walce z nie byle jakim przeciwnikiem.

Należało uzbroić się w bezwzględny chłód i odporność na szatańskie wdzięki tej kobiety, której destrukcyjna władza prawdopodobnie rozpoczynała się dopiero z chwilą dopełnienia aktu płciowego. W uszach dźwięczały mi wciąż lekceważone zrazu słowa nieszczęśliwego:

— Zdaje mi się, że gdybym był nie wdawał się z nią w bliższy stosunek, nie uległbym obecnemu stanowi.

Jakąkolwiek rolę odegrał w tej sprawie wpływ Sary, należało strzec się. W każdym razie spostrzegłem, że odczuwa ku mnie niedwuznaczny pociąg, i kto wie, czy już w myśli nie wybrała sobie mnie na następcę. Postanowiłem z tego skorzystać, pozornie przystając na ewentualne propozycje. Lecz należało czekać; było jeszcze za wcześnie.

Tymczasem bywałem u niej często, odwiedzając w każdej wolnej chwili. Lecz od ostatniej sceny w sypialni ani razu nie pozwoliła mi widzieć chorego, snadź²² obawiając się podejrzeń, które by mogły mnie zniechęcić. Ustępowałem, poprzestając na zabawie w salonie i wspólnej lekturze. Tak upływały dni i tygodnie, w ciągu których obserwowałem coraz silniej skłaniającą się ku mnie namiętność Sary. Lecz ani razu nie pozwoliłem przekroczyć granicy zakreślonej towarzyską formą, potęgu-

²²snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

jąc tym jeszcze jej wyuzdaną lubieżność. Moja powściągliwość irytowała, podżegając ogień. Z wolna stawałem się panem sytuacji...

Pewnego wieczoru przyjechałem nieco później, bo już koło dziewiątej, by spędzić chwil parę przy wspólnej kolacji.

Czas był pogodny, czerwcowy. Przez otwarte okno jadalni wnącał się łagodny wietrzyk wieczorny, lekko wydymając koronki firanek. Z parku wsączały się do wnętrza aromaty kwiatów, płynął zapach przekwitających jaśminów. Z alei klonów szły skargi słowików, czasem zabłąkał się cichy poświerk zasypiających świerszczy.

Siedziałem wyciągnięty w fotelu, popijając kawę. Sara grała na pianinie zawrotny taniec derwiszów²³. Patrzyłem na ruchy jej rąk gwałtowne, fanatyczne, jak dobywały tony gorące szaleńcem, dyszące krwią, pijane. Była piękna w tej

²³*derwisz* — tu: mewlewita, członek muzułmańskiego bractwa religijnego o charakterze mistycznym, w którym jedną z dróg oświecenia stanowi medytacja w ruchu, podczas wykonywania szybkich obrotów wokół własnej osi; z tego powodu bractwo nazywa się „tańczącymi derwiszami” lub „wirującymi derwiszami”. [przypis edytorski]

chwili. Błądą jej twarz powlókł ciemny rumieniec, oczy miały błyskawice, krągła, cudnie sklepiona pierś poruszała przyspieszonym oddechem zwoje białego peniuaru niby falę pian.

Nagle wśród największego zapamiętania, gdy wsłuchany w grę upajałem się skwarem egzotycznej muzyki, przyszła jak grom myśl o Stosławskim.

Gdzie on teraz, co robi? Może wciśnięty w kąć przyległego pokoju uśmiecha się jak wtedy? A może gra Sary zgalwanizowała na chwilę i ten łachman człowieczy? A wtedy? Jakaż bezdeń rozpaczy skowyczeć musi w tych resztkach człowieczych!

Jak podrzucony zerwałem się z miejsca i kładąc rękę na klawiaturze, krzyknąłem:

— Dosyć! Chcę widzieć Stosławskiego! Natychmiast!

Sara zaskoczona znieńska wyprostowała się dumnie, mierząc mnie spokojnie oczyma:

— Nie zobaczy go pan.

— Muszę! Rozumie pani — muszę! Dzisiaj, zaraz! W przeciwnym razie...

Lecz nie dokończyłem groźby, bo w tymże momencie szatę Sary zalał szkarłatny odblask, że stanęła przede mną jakby w płomieniach.

— Co to? — zawołaliśmy równocześnie, zapominając o wszystkim.

Oczy nasze skierowane bezwiednie w okno dojrzały spoza szczytów drzew parkowych krwawą lunę pożaru.

Z dali dolatywał już stłumiony przed chwilą przez muzykę gwar zmieszanych głosów i krzyków.

Do jadalni wpadła wybladła służba:

— Jasna pani, Polanka pali się! Dom gajowego koło pałacu cały w ogniu!

Sara pytająco zwróciła się ku mnie.

— Proszę wsiąść do mego powozu, który czeka przed bramą — zdecydowałem szybko.

— A pan?

— Zaraz przyjdę — proszę zaczekać w karetkce²⁴ — pojedziemy razem — muszę ocalić portret pani z salonu, ten ostatni, najlepszy...

²⁴*karetkka* — kryty pojazd konny, zwykle specjalnego przeznaczenia, np. karetkka pocztowa lub więzienna. [przypis edytorski]

Wyprowadziłem ją i poleciwszy służącemu, by pomógł wsiąść do pojazdu, sam zawróciłem do willi. Chodziło mi nie o portret, lecz o Stosławskiego. Nie mogłem go zostawić na pastwę płomieni.

Wyważyłem gwałtownie drzwi od sypialni i wpadłem do środka, wołając:

— Kaziu! Kazik! To ja! Gore! Ruszaj stąd! Uciekajmy!

Odpowiedziało milczenie. W sypialni było ciemno, nie widziałem nic. Może zasnął?

Namacałem ręką guzik elektryczny i przekręciłem. Błysk światła spłynął się z okrzykiem grozy wydanym z mej piersi.

Na krześle wysuniętym na środek pokoju ujrzałem galaretowatą postać ludzką kształtem i konturami twarzy przypominającą Stosławskiego. Był przejrzysty na wylot; widziałem poprzez niego rysujące się wyraźnie sprzęty pokoju...

Nie dowierzając wzrokowi, dotknąłem go: ręka natrafiła na coś ustępliwego jak gęsta ciecz. Cofnąłem szybko dłoń; z palców moich ześli-

znęła się jakaś lepka, kleista treść jak żelatyna i ściekła leniwo na podłogę.

Nagle postać zawahała się, śluzowaty kształt zachybotał w dziwnej rozchwiei i rozpadł się na części. Z przeźroczej masy poczęły wysnuwać się pojedyncze pasma niby mgławicowe pierścienie, które uniósłszy się w górę, bujały czas pewien i szczały nie wiadomo jak w przestrzeni. Po paru minutach nie zostało nic — krzesło było puste: Stosławski rozwiął się bez śladu...

Ze zjeżonym włosem wybiegłem z willi i dopadłszy powozu, kazałem ruszać co tchu. Jechaliśmy w milczeniu oświeceni luną szalejącego pożaru. Sara o nic nie pytała, ja też nie miałem ochoty do zwierzeń.

Po przybyciu do miasta umieściłem ją w jednym z hoteli, a sam spędziłem noc u siebie.

Nazajutrz z dzienników dowiedziałem się, że pożar szczęśliwie ugaszono i willa ocalała. Pospieszyłem z wiadomością do Sary, która natychmiast postanowiła wracać. Odwiozłem ją do pałacyku, by odtąd zamieszkać z nią wspólnie: było to jej gorącym życzeniem. Przystąpiłem

bez wahania. O Stosławskim nie mówiliśmy, jak gdyby nigdy nie istniał. Rozpoczęła się druga faza mej znajomości z tą dziwną kobietą...

Od taktyki dotychczasowej nie odstępiałem ani na krok. Chociaż żyliśmy obok siebie w codziennej styczności, stosunek nie przybrał form małżeńskich. Dowodów bezpośrednich na zabójczy wpływ, jaki mogło wywierać płciowe obcowanie z Sarą, wprawdzie nie miałem, lecz instynkt ostrzegał mnie przed zbytnią zażyłością. Grałem tedy rolę przyjaciela, idealnego opiekuna i doradcy, unikając starannie spółki cielesnej.

Sarę widocznie upór mój rozdrażniał, wzmagając chęć przełamania go. Używała tysiąca środków i półśrodków, na jakie tylko może zdobyć się kobieta ponętna, by przewyciężyć moją odporność.

I przyznać muszę, że przeżywałem nieraz chwile szalonej pokusy — lecz obraz Stosławskiego, okropna wizja jego ostatniej, szczątkowej formy ziemskiego bytowania tam, w tej

przepysznej sypialni mroziła mnie za najlżejszym wspomnieniem, ścinając w lód zapędy krwi.

Moja dziwna powściągliwość zrazu gniewała ją: pierwsze miesiące nienaturalnego współżycia były pasmem gwałtownych scen. Pytany o powód, zwaляłem wszystko na karb platońskiego uczucia, jakie rzekomo we mnie obudziła.

— Zbyt wysoko cię cenię, Saro — odpowiadałem zwykle na jej namiętne wybuchy — by odważyć się na użycie fizyczne twego ciała. Umieściłem cię na zbyt górnym piedestale, by móc sięgnąć ręką po ciebie. Nie chcę brukać swego ideału.

Wtedy wyszydzała mnie, nazywając zwyrodniałym idealistą lub jeszcze mniej pochlebnyimi epitetami. Znosiłem obelgi z zimną krwią, czekając, jak sprawa rozwinie się później.

Tak minął rok. O ile zrazu Sara żywiła nadzieję zwycięstwa, powoli pewność opuszczała ją. Bezskuteczność coraz silniejszych ataków snadź zbijała z tropu — zaczęła patrzeć na mnie ze zdumieniem i — rzecz zastanawiająca —

z rodzajem przerażenia. Ten strach odkrył mi pobudki jej postępowania. Po czasie nabrałem przekonania, że chęć pożycia małżeńskiego ze mną nie wypłynęła wyłącznie z popędu, lecz miała znacznie głębsze źródła — była dla niej prawdopodobnie kwestią bytu. Fatalnym stało się dla niej, że uległa momentowi pociągu fizycznego ku mojej osobie — fatalnym dla kobiety, która przywykła do zwycięstw, której dotąd nie oparł się żaden mężczyzna. Z chwilą zadzierzgnięcia sieci na osobniku płci przeciwnej wytwarzał się dla niej zapewne specjalny stosunek, który nosił w sobie zarody niebezpieczeństwa dla stron obu: zależało to tylko od zachowania się mężczyzny. Jeśli uległ i przystał na akt seksualny, Sara miała go w ręku na zawsze. Lecz jeśliby zachował rezerwę, sprawa mogła przybrać obrót groźny dla tej wyjątkowej kobiety. Zdaje się, że w tym wypadku nie mogła przejść spokojnie w ramiona drugiego, nie mogła swobodnie rozpiąć ponownych wyników na kogo innego — dopóki nie rzuciła pod swoje stopy opornego wybrańca. Dotąd życie

jej było zwycięskim pochodem, bezwzględny triumfem poskromicielki. Lecz nadeszła chwila odwetu, a ja byłem jego narzędziem. Sara Braga nie mogła zerwać ze mną, nie mogła oddalić mnie mimo daremnych wysiłków.

A siły moje rosły z dniem każdym przez odpór i wzmaganiem się w mocy przez nieugiętą wolę. Po roku znikły niemal zupełnie pogrozki i szyderstwa, by przejść w pokorę i prośbę. Sara Braga, dumna, królewska Sara zaczęła błagać i łasić się u nóg moich.

Bo chodziło o jej piękność, urodę, bo chodziło o jej demoniczną młodość, może i o coś więcej jeszcze: może szło o życie.

Po roku naszego wspólnego pożycia Sara zaczęła widocznie starzeć się. Pewnego dnia zauważyłem w jej kruczonych włosach zdradzieckie srebrne linie, a w kątach ust krzyżową sieć zmarszczek. Wyniosła postać traciła powoli dawną elastyczność, pierś przestała prężyć się gibką falą. Sara wiedła jak kwiat zwarzony jesiennym szronem.

Wiedziała o zaszłej zmianie — każde lustro pouczyło o tym wiernie — a lustr²⁵ było tyle we willi!

I wtedy, ku niewymownej radości, rozpacz ujrzałem — piekielną rozpacz dużych, czarnych, ognistych oczu.

Owoc zemsty dojrzewał, dościgał z cicha, niespostrzeżenie. Siły moje zwielokrotniły się, potężnym spięciem jakby skupiły się we mnie. Czulem tajemniczą pomoc wkoło siebie, stałem się jakimś magnetycznym ośrodkiem, który przyciągał, wsysał z peryferii ukryte energie drzemiące w tym domu: nie byłem sam w willi. Zaczęły się rozwijać zagadkowe objawy, występowały coraz śmieiej jakieś dotąd uwięzione prądy, rodziły się jakieś moce. Lecz czulem, że były mi przyjazne, że stały po mojej stronie. I ona je spostrzegła — ze zgrozą, z bezgraniczną grozą dopadniętej zwierzyny, i zwróciła się do mnie po schron, po opiekę. Naiwna! Jakby nie wiedziała, że to ja właśnie je wyswobodziłem.

²⁵*lustr* — dziś D.lm raczej: luster. [przypis edytorski]

Odtąd nie chciała sypiać sama, z lękiem wyczekując wieczornych godzin. W domu przez całą noc paliły się światła i jasno było w willi jak w dzień. Ani na chwilę nie rozstawiała się ze mną w obawie przed samotnością, w zabobonnym strachu przed czymś okropnym. A gdy usnęła na parę godzin znużona czuwaniem, miała marzenia straszliwe, bo przez sen nieraz słyszałem jej cichy, stłumiony jęk.

Raz, porwawszy się z łóżka, w bieliźnie, z rozpuszczonymi włosami przypadła do mnie w obłąkańczym przerażeniu i przytuliła zakrytą dłońmi twarz do mojej piersi.

— Co tobie? Przyśniło ci się co? — zapytałem, sam zdjęty dreszczem trwogi.

— Boję się — wyszeptała, drżąc jak listek — boję się. Tylko nie odchodź ode mnie! Umarłabym w tym domu ze strachu.

Gdyby nie mój stanowczy upór, byłaby opuściła pałacyk i przeniosła się gdzie indziej. Lecz przeprowadziłem swą wolę: musiała pozostać.

Wreszcie strach, rozpacz i szal bezsilnej wściekłości dosięgły punktu zwrotnego. Pewnej no-

cy, opętana dławiającą zmorą, z oczyma wycho-
dzącymi z orbit, porwała się w koszuli z łóżka
i stanęła nade mną, dysząc ciężko. Z ust jej wy-
szedł zziajany, świszczący szept:

— Bierz mnie, ty kacie jeden! Bierz lub...
zginiesz!

W podniesionej ręce błysnęło zimno ostrze
weneckiego puginału²⁶.

Uderzyłem ją wzrokiem: ramię sparalizo-
wane opadło bezwładnie, sztylet wyslizgnął się
ze zeszywniałych palców.

— Cha! cha! cha! — zaśmiałem się, siada-
jąc w fotelu, na którym po raz ostatni ujrzałem
znikającą postać Stosławskiego.

— Cha, cha, cha! I na to, jak widzisz, by-
łem przygotowany. Chciałaś wiedzieć tyle ra-
zy, dlaczego gardzę twym ciałem, dlaczego nie
chcę mieć z tobą nic wspólnego. W odpowiedzi
przeczytam ci coś ze starych, świętych ksiąg.
No, możesz teraz już usiąść tam naprzeciw —
tylko nie ponawiaj próby! Byłaby równie zby-
teczna. Czy chcesz posłuchać?

²⁶*puginat* — sztylet; krótki miecz. [przypis edytorski]

Z rezygnacją dobijanej ofiary obsunęła się na dywan.

Wydobyłem z szafki Stary Testament. Księgę tę ostatnimi czasy studiowałem z zapalem, zatapiając się w jej przedziwne tajniki, upojony poezją słowa i głębią treści. Otworzyłem Księgę Trzecią Królewską²⁷ i głosem spokojnym, przejęty ważnością chwili, odczytałem z rozdziału pierwszego następujący urywek:

„...A król Dawid zestarzał się był i miał wiele dni wieku: a gdy go odziewano szatami, nie zagrzewał się.

Rzekli mu tedy słudzy jego: »Poszukajmy królowi, panu naszemu, młodej panienki, niech stoi przed królem i okrywa go, i śpi na łonie jego, a zagrzewa króla, pana naszego«.

A tak szukali panienki pięknej we wszystkich granicach izraelskich, i znaleźli Abizag Sunamitkę i przywiedli ją do króla.

²⁷*Księga Trzecia Królewską* — wg Septuaginty, w obecnie przyjętej terminologii jest to *Pierwsza Księga Królewską*. [przypis edytorski]

A była panienka bardzo piękna i spała z królem, i służyła mu...”²⁸

Przerwałem, podnosząc oczy na Sarę.

Wyminęła spojrzenie.

— Cóż? Rozumiesz?

Wzruszyła nerwowo ramionami:

— Cóż mnie to obchodzi? W jakim związku pozostaje ten fragment z nami?

— Nie kłam, Saro! Ty rozumiesz wszystko. Ten sędziwy egoista — to twój praojciec i mistrz.

— Mówisz jak szaleniec — odparła, zacinając z pasją wargi.

— Kłamiesz, Saro! Lecz posłuchaj innych wyjątków z Księgi Tobiasza, rozdziałów trzeciego i szóstego. Te wyjaśnią sytuację zupełnie.

— Z Księgi Tobiasza? — wyjąkała jak przez sen.

— Tak, z dziejów Tobiasza i Sary; dziwnym zrządzeniem przypadku jesteś współimiennicą tej szatańskiej kobiety...

²⁸A król Dawid zestarzał się był i miał wiele dni wieku... — I Krl, 1-4, w tłum. Jakuba Wujka. [przypis edytorski]

„...Tegoż tedy dnia przydało²⁹ się, iż Sara córka Raguelowa w Rages, mieście Medskim³⁰, y ona usłyszała urąganie³¹ od iedney służebnice oycy swego, bo była wydana za siedm mężów, a czart imieniem Asmodeusz pomordował je, skoro do niej weszli...”³²

Przerzuciwszy kartkę, czytałem dalej z rozdziału szóstego:

„I odpowiadając, Anioł rzekł:

— Jest tu imieniem Raguel mąż... a ten ma córkę... Sarę... Twoja ma być wszystka majątność jej i masz ją pojąć za żonę...

Odpowiedział tedy Tobiasz i rzekł: »Słyszę, że była wydana za siedmiu mężów, a pomarli; alem i to słyszał, że je czart za-

²⁹przydało się — dziś: przydarzyło się. [przypis edytorski]

³⁰Medskim — dziś: medyjskim, należącym do Medów, starożytnego ludu z płn.-zach. Iranu, który pokonał Asyryjczyków i utworzył potężne imperium, trwające od 614 do 549 p.n.e., pokonane przez Cyrusa II Wielkiego, założyciela imperium perskiego. [przypis edytorski]

³¹urąganie — uwłaczanie, wymyślanie, ubliżanie. [przypis edytorski]

³²Tegoż tedy dnia przydało się, iż Sara córka Raguelowa w Rages... — Tb 3, 7–8, w tłum. Jakuba Wujka. [przypis edytorski]

mordował... Otoż się boję, by snadź i mnie się to nie stało...«

Rzekł mu tedy Anioł Rafael: »Posłuchaj mnie, a pokażęć, którzy to są, nad którymi czart przemoc może. Ci bowiem, którzy w małżeństwo tak wstępują, że Boga od siebie... wyrzucają, a swej lubości tak dosyć czynią, jako koń i muł, którzy rozumu nie mają... nad tymi czart ma moc...

Ale gdy ją ty pojdziesz, wszedłszy do łożnicy, wstrzymujże się od niej przez trzy dni, a niczym się innym jedno³³ modlitwami z nią nie będziesz zabawiał«³⁴.

Zamknąłem Biblię i spojrzałem na Sarę.

Nigdy nie zapomnę jej w owym tragicznym momencie. Rozpacz i wstyd, wściekłość, strach i ogromny, niepojęty ból wypełzły z otchłani tej demonicznej duszy, by zagrać po raz ostatni na twarzy zmąconym akordem dysonansów!

³³*jedno a. jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

³⁴*I odpowiadając, Anioł rzekł...* — Tb 6, 11–18, w tłum. Jakuba Wujka. [przypis edytorski]

Jak pantera rzuciła się ku mnie z drapieżnie zakrzywionymi palcami:

— Ty łotrze podły! Podszedłeś mnie, zniszczyłeś, zdeптаłeś i teraz jeszcze chcesz się pa-stwić nade mną!

Chwyciłem mocno zwiniętą do ciosu pięść i rozbroiłem:

— Uspokój się, wiedźmo! Dziś to nasza noc ostatnia — jutro opuszczę ten dom na zawsze. Lecz nie spędzisz wraz ze mną tych paru godzin, których jeszcze nie dostaje do brzasku. Obmierzło mi twe towarzystwo. Ponieważ zachowujesz się jak megiera³⁵, zostawię cię samą tam w salonie. Chcę odpocząć tutaj sam nareszcie.

Opierającą się zawlokłem niemal przemocą wśród uporczywego szamotania się do skrzącej topielą świateł sali. Potem, zamknąwszy za nią drzwi, wróciłem do sypialni i z rozstrojonymi walką nerwami oparłem się ciężko o framugę okna, wpatrując się w kiry³⁶ nocy...

³⁵*megiera* (pot.) — kobieta kłótniwa i złośliwa; od imienia jednej z erynii, bogiń zemsty w mit. gr. [przypis edytorski]

³⁶*kir* — czarna tkanina, symbol żałoby. [przypis edytorski]

Wtem rozpruł ciszę głuchy, okropny, rozdzierający krzyk kobiety. Był tak przeraźliwy, tak przejmujący, że mimo wszystko wtargnąłem z powrotem do salonu.

Tu było ciemno. Przed chwilą jeszcze pokój zalany potokami światła, teraz nurzał się w grubej poćmie nocy: pogasły nagle elektryczne lampiony, zmierzchły fantastyczne żyrandole. Krzyk ustał nagle i zapanowała głucha, duszna cisza.

Przejęty nieokreślonym lękiem, przyniosłem z sypialni płonąca lampę. Światło padło na estradę w głębi... Na stopniach ostatnich leżała na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami Sara. Z twarzy jej wykrzywionej okropnie uczuciem grozy patrzyły na mnie zeszkłone w bezruchu śmierci oczy; zginęła momentalnie pod wpływem jakiegoś nieludzkiego przerażenia.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-niesamowita-opowiesc-w-domu-sary/>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Nowele*, Wyd. Literackie, Kraków 1980

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja dofinansowana ze środków Fundacji PFR. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Patrycja Józwiak, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Red chairs, thomaswanhoff@Flickr, CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na *Wolne Lektury* na stronie Fundacji.